

PÉTER KÁNTOR

przełożył Bohdan Zadura

Pokazuję koszyk

Zawsze chodzę w to samo miejsce,
choć wciąż je zmieniam.

Zawsze komuś przy kasie
pokazuję koszyk.

Ktoś zawsze mnie podlicza:
co ten gość (ja) zabiera do domu.

Poznają mnie po koszyku:
Znów ten koszyk, to na pewno pan!

Zawsze to samo! Dokąd
on to niesie? Sporo pije.

Skąd ma na to pieniądze? I w ogóle.
Nigdy o to nie pytają.

Ja też nie pytam. Ich imiona
odczytuję z fartuchów.

Droga Noemi, jak leci?
Za mną stoi pięć, sześć osób.

Tylko pokazuję koszyk.
Zawsze to samo: ser, wino, jabłka.

Nikt nie wie, co sprawia, że dni się różnią
i jaki, dajmy na to, dzisiaj mamy dzień.

O każdej porze

I nie traktuj poważnie tego, co wygaduję w złości,
przecież wiesz, że wcale tak nie myślę!

Jednak nigdy nie milcz, gdy zrobię coś,
co może okryć mnie wstydem – i pośrednio ciebie też!

Co prawda każdy odpowiada tylko za siebie:
ani ty za mnie, ani ja za ciebie.

A jednak! W jakiś sposób się w sobie odbijamy,
choć nie jesteśmy identyczni, nie!

Ty – to ty, ja – to ja, od początku.
Nigdy nie zapominaj o tym, proszę!

Jednak moje zwycięstwa są także twoje,
a porażki ciebie też dotyczą.

Tak jak każdy mój trud jest twoim udziałem,
tak samo każde moje zmartwychwstanie.

Jednak nie mieszaj się w moje sprawy!
Nie narzucaj mi nigdy niczego!

I nie wypytuj bez potrzeby,
ale nie bądź też obojętna, nawet na pozór!

Trzymaj w dłoniach wagę,
Lecz nie waż zawsze wszystkiego!

Staraj się czasami przymknąć na coś oko,
lecz nie tak jak współlnik w przestępstwie!

A poza tym nie zapomnij się o mnie troszczyć,
nie zapomnij się o mnie martwić!

Płacz, bo nie ma lekarstwa na ten świat,
lecz nie odbieraj mi swojego zaufania!

Co jeszcze mogłabyś dla mnie zrobić, mamie?
Znoś mnie o każdej porze.

I niech światło pali się w twoim oknie,
bo czasem w nocy patrzę na nie.

Zabawy na lodzie
Hendrick Averkamp

Wy też chodźcie za mną! – skinął na nich Hendrick,
a oni poszli z nim, na jego lód,
a on czekał, aż się rozjadą,
i zdał się na nich, ufał, że odnajdą
swoje miejsca, i rzeczywiście je znaleźli
wówczas, przynajmniej tam, na lodzie.

I *Zabawami na lodzie* nazwał Hendrick
obraz, gdy już się wypełnił, a na pierwszym planie,
jakby u bramy wszechrzeczy,
dokładnie na wprost niego stał podobny
do wspaniałego, barwnego motyla
kawaler z łyżwami na nogach,
w żółtej kamizelce, w ciemnych pumpach,
w wysokim kapeluszu z piórkiem, w takiej pozie
jakby to on się tu naprawdę liczył,
jakby na nim skupiała się, z niego rozchodziła
w każdym kierunku cała uwaga,
choć był obecny tylko tak jak inni.

Po czym całość pokrył grubo werniksem.

I wtedy ptaki zastygły na niebie,
i tak już został ten, kto na nos padał,
i wszyscy tak, jak byli, w ruchu, siedząc,
na jednej nodze, pojedynczo, w parach.

I stała się wielka cisza. I w tej ciszy
gesty jak rdzenie słów oznajmiały:
Tu! Tam! Tak! Tędy! Hop!
– choć już donikąd, już tam na stałe.

I tego nic nie zmieni, nie ma takiej siły
ani zamiaru i chyba powodu, bo skądże
by się wziął, gdy wszystko jest tak, jak być może,
i tak, jak jest, jest dobrze.

O, tak! – i ponownie pokrył wszystko werniksem.

Gotowe. Hendricku, ten twój lód, ta srebrna
pozłacana taca jak magnes przyciąga
twoich wyznawców niewiernych.

Jak rozgwieżdżone niebo jest twe lodowisko,
na którym każda z gwiazd ma swoje miejsce
i takie pięknie jest być przenika wszystko.

Coś nawet z bliska jest tak oddalone,
że jak melodii, która w ucho zapadła,
zagrozić nic już mu nie może.

U ciebie życie sunie na saniach zaprzężonych w konie,
a kto na to patrzy, cieszy się, że może to widzieć,
i każdy drobiaz z radością jego oko chłonie.

Inny, Pieter Bruegel, mistrz, wiedział, co wiedział.
U ciebie zgarbiony pod brzemieniem słomy
spieszy radośnie biedak.

Sceny na lodzie. Zabawy na lodzie;
łyżwiarze – i ani razu ślepiec ślepcą
po twardych grudach nie wodzi.

I nie ma spojrzeń, co by za czymś innym tęskniły rozbiegane,
nie ma przeszłości, przyszłości, dalekich gór, które bołą,
nie ma przemijania, soli sypanej na otwartą ranę.

Skąpane w kosztownym świetle wszystko, co ogrzewa,
płaszcz, pończochy, spódnica czerwienią się i czernią,
i nie zlewają się ze sobą dom, łódka i drzewo.

Bo czy musi być prawdą, że wiatr zawsze płacze?
Że zawsze szaleje? Zawsze syczy?
Że liść zawsze spada, jęcząc z rozpacz?

Że zawsze w lecie brutalnym drżymy
i napełniliśmy się jak winogrona cukrem,
na oślepiec lecąc, coś krzyczymy?

O, gdybyś wziął mnie na swój lód raz bodaj!
Nałożył mi kapelusz, miękkie światło, co tylko trzeba,
i na stosownym miejscu mnie zawerniksował!